

EDWARD HARTWIG

ur. 1909; Moskwa



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin ; Wiedeń ; ulica Narutowicza ; ulica Krakowskie Przedmieście ; ulica Świętoduska ; Brama Grodzka ; Brama Krakowska ; dwudziestolecie międzywojenne ; dzielnica żydowska na Podzamczu ; dzielnica Podzamcze ; targ przy ulicy Świętoduskiej ; handel ; stosunki polsko-żydowskie ; Żydzi ; fotografia ; fotograf ; materiały fotograficzne ; zakład fotograficzny ; LTF ; Lubelskie Towarzystwo Fotograficzne ; studia w Wiedniu ; praca fotografa ; fotografia lubelska ; przedwojenna fotografia ; refleksje o fotografii ; hotel Europa ; cukiernia Semadeniego ; wspomnienia o ojcu ; zakład fotograficzny ojca ; Hartwig, Ludwik (1883-1975) ; Kielsznia, Stefan (1911-1987) ; Łobodowski, Józef (1909-1988) ; Ziółkowski, Wiktor (1893-1978)

1. Fotografowanie Lublina

Tamto zdjęcie, to jest pierwsze zdjęcie jakie ja zrobiłem w Lublinie. Ojciec kupił mi taką kamerę 9 x 12, i wtenczas były kasety szklane, trzy takie kasety i wygonił mnie na Stare Miasto, żebym ja coś sfotografował. Kaset było trzy, jedno z tych zdjęć zachowało się. Te pejzaże, które tutaj wiszą to są okolice Lublina, które robione były 70 lat temu. Ja to robiłem jako hobbysta. Ja się znalazłem w lubelskim ośrodku twórczym malarzy i literatów i szybko zostałem zaakceptowany jako swój człowiek, chociaż nie byłem ani literatem ani artystą, tylko Hartwigiem. To jakoś się tak przyjemnie ułożyło, że to trwało bardzo długo i bardzo mnie się to przydało. Nigdzie jeszcze za granicą nie byłem, doświadczeń takich większych nie miałem, a tu i Łobodowski i inni. Wtenczas takiego życia impulsywnego jak dzisiaj - nie było. Raczej było to wszystko niemrawe takie wyglądało - nieprawda, wszyscy ludzie byli naładowanie jakimiś swoimi talentami i trudno było się pokazać. Jeżeli chodzi np. o fotografię - magazynów ilustrowanych nie było, reportaży nie uprawiali, właściwie, gdzieś się jakoś ujawnić było dosyć trudno. Łatwiej było w innych dyscyplinach, najłatwiej to było teatr, muzyka, bez przerwy koncertowali, to było lepsze czy gorsze, poza tym do fotografii się odnosili lekceważąco, uważali, że to jest coś takiego, nie ta ranga, nie zdobyła sobie jeszcze zaufania, a druga sprawa - w tamtym czasie ludzi z wyższym wykształceniem to nie interesowało. Zmieniło się to. Dzisiaj studenci, którzy kończą Akademię sztuk Pięknych umią świetnie rysować, umią świetnie malować, a

zajmują się fotografią. To nie tylko w Polsce, to jest na całym świecie, po prostu. Nowa elita przyszła, mówię elita, bo to są rodzyнки, bo ktoś mówi - co to jest za fach fotograf, dzisiaj wszyscy fotografują, a tutaj mówi się fotograf, no to moje powiedzonko jest takie: że jak człowiek się rodzi, to już głos oddaje i śpiewa, później w kabaretach, w piosenkach, w smutkach, w radościach, człowiek jest istotą śpiewającą, ale solistów jest mało. To się odnosi też do fotografii. Że to wcale nie przeszkadza, że takie tłumy ludzi fotografują, wręcz przeciwnie, jest to zjawisko masowe, ale nie chore. Raz, że bardzo łatwo sobie tę satysfakcję uzupełniają w strefie rodzinnej czy wycieczkowej, później z tej branży, ci co nie byli ani rzemieślnikami ani artystami, tylko po prostu utalentowani, zmieniają czasami swoją profesję. Jest sporo takich ludzi, którzy odnoszą sukcesy, a ponieważ o fotografii uważam, że teraz przechodzi wielki sukces, bo można dobrze zarobić, albo nawet bardzo dobrze można zarobić, może zaspokoić ambicję. Bo jak ja 70 lat temu zrobiłem te pejzaże, to ja je chowałem do tapczanu, a rozmawiałem, pokazywałem tym zaprzyjaźnionym malarzom i stąd jakaś taka była do mnie pewna koleżeńskość. Ja już wtenczas fotografię traktowałem nie jako dokument, nie jako kalkowanie świata czy ziemi, ale były to obrazy fotograficzne. W okresie kiedy rozkwit był Bułhaka, kiedy po 150 latach niewoli, on wykazał, że jest potrzebne, że trzeba ten nowy kraj fotografować, i że on jest nieznany, i z różnych ośrodków się ludzie scementowali, była taka potrzeba, ale techniczne możliwości były bardzo trudne, bo były duże kamery, szklane klisze i takie wyprawy pejzażowe z aparatem to była przygoda fizyczna, trzeba było mieć albo przyjaciela albo asystenta, który to nosił, no ale nie będziemy tutaj wspominać o technice - ona się bardzo polepszyła. Te fotografie z Lublina, dawne, stare, które były na wystawie w Lublinie (Wielka Księga Miasta), one nic nie straciły na wartości, te fotografie, z tego zestawu, którego nie pamiętam już za dobrze lubelskiego, były wystawiane na różnych wystawach światowych, były na moich indywidualnych wystawach, m.in. w Huston, raz pokazałem to prosili drugi raz i tylko te stare, te dawne pokazać. Tak że one zrobiły można powiedzieć karierę i do dzisiejszego dnia ja manipuluję tymi zdjęciami. Teraz, za dwa miesiące będę miał wystawę dużą w Paryżu, później będę miał jesienią wystawę retrospektywną, to zaczynam od tych starych zdjęć, jest to taki start.

2. Fotografowanie dzielnicy żydowskiej

To jest cała tragedia fotograficzna. Ja miałem bardzo prymitywną pracownię tam w podwórku przy ulicy Narutowicza. Jak żeśmy przyjechali z Rosji, to ojciec wybudował taką budę. Wtenczas robiło się zdjęcia tylko przy normalnym świetle. Żeby portretować ludzi to trzeba było robić tak jak u malarza - górne światło, boczne światło, firankami się manipulowało, robiło się bardzo dobre portrety, tylko tempo zwolnione, produkcja niewielka, nie były to jakieś knoty. Do dzisiejszego dnia z tego okresu fotografie są pokazywane. Później, jak się troszeczkę już wciągnąłem w tę fotografię, to reportażu nie robiłem, bo nikt nie robił, prawie nikt nie robił. Traktowali to

jako dokument, nie jako reportaż, później nazwa się zmieniała. Lublin, Stare Miasto, ta dzielnica żydowska, to była kopalnia do fotografii, wtenczas to się wydawało, że to całe życie będzie, nie spieszyło się, nikt tego nie chce. Ale ja się przyjaźniłem z dyrektorem muzeum lubelskiego, panem Ziółkowskim. To był w moim pojęciu, w dalszym ciągu, taka opatrność ludzi sztuki. Sam był zaniedbany, biedny, wspierał jednak jak mógł szczególnie malarzy i on mnie ciągle popychał, żeby te żydowskie tematy fotografować. Ja zrobiłem sporo rzeczy, które gdybym dzisiaj miał, to na pewno bym w Ameryce się doczekał albumu na ten temat. Ale w tej budzie nie było wody, w bardzo prymitywny sposób się pracowało. Ja nawet nie robiłem odbitek czy powiększeń, tylko negatywy. Miałem trochę większy aparat. Ojciec kupił mi Plaubel-Makinę, to był taki aparat 6 x 9, który miał jedną ogniskową na ostrość stałą, i on był składany, tak że można było jego do kieszeni położyć, to już był taki reporterski aparat. Ja się po prostu wchłonołem w ten środek żydowski, nawet miałem tam przyjaciół, miałem laboranta Żyda młodego, naprawdę, wtenczas nie zdawałem sobie sprawy, traktowałem to jako dokument, to traktowałem jako moją sztukę, a tamto - jako zło konieczne - jako dokument. Tego miałem sporo, bo robiłem w Kazimierzu i w Lublinie. Ponieważ jak wspominałem warunki były prymitywne, otrzymałem tę pracownię po ojcu, ojciec odbudował sobie zakład w Hotelu Europejskim. Tam się przechodziło przez wejście i na zapleczu wybudował sobie mieszkanie i nowoczesne, jak na tamte czasy atelier. I ja te swoje negatywy, ponieważ u mnie była wilgoć, a one przedstawiały dla mnie wartość tylko jako archiwum, wszystkie zanosilem do ojca. I pierwszy nalot jaki był na Lublin właśnie bomba padła nie w sam hotel, tylko na zaplecze i prosto w ojca pracownię, i w ojca mieszkanie. Ojciec cudem ocalał, bo akurat jak bomba padała schodził ze schodów, z I piętra. Tamto wszystko poszło w piach, zostały tylko te schody, ojca wyrzuciło, ta fala uderzeniowa. Ja ojca nie widziałem, bo byłem wtenczas w wojsku i miałem na drugi dzień z Lublina wyjechać i mnie tylko powiedzieli, że widzieli ojca żywego i jego zabrali, więc tamten cały mój dorobek uważam dzisiaj za bardzo cenny. To jednak były dokumenty podpatrzone z zainteresowaniem.

3. Dzielnica żydowska

Podzamcze, mówiąc językiem człowieka wrażliwego, było genialne do malowania, do fotografowania, ten prymityw, ten strój, ten ubiór, ten wygląd zarośnięty, te bardzo ubogie drewniane chałupy na Podzamczu... Właściwie wszystko się zaczynało od Bramy Trynitarzkiej [przyp. red. Bramy Grodzkiej], to oczywiście było bez kanalizacji, byli szewcy, krawcy, oni mieli taki kąt do spania dosłownie, a pracowali na tak zwanym powietrzu - okropnym powietrzu, bo to nie było czym oddychać. Jednocześnie była architektura, był ciekawy sztafaż i był ten moment zarobków. Oczywiście Żydzi mieli talent do handlu. Mała część zamieniała się w rzemieślników, natomiast większość handlowała. Jak ten handel wyglądał - przede wszystkim były to sprawy konsumpcyjne, ale były na przykład takie jedzenia, takie makagigi, to jest z

mału zrobione, były jabłka marynowane w takich dużych beczkach, kapusta i różne specjalności, które tylko u Żydów można było kupić, śledzie oczywiście itd. I to było wystawione przed mieszkaniem i to jest właśnie patrząc z punktu dzisiejszych czasów, można być zdumionym, że mimo takiego prymitywu, nie było masowych chorób. Czy to organizmy były takie? Nie wiem na czym to polega, ale ja nie umiem tego wytłumaczyć - epidemii żadnych nie było, ale to się odnosi również do wsi. W tamtym czasie wieś dostarczała również żywność - mięso, masło, ser, do domów, każdy dom miał jakiegoś chłopca i w tych fotografiach moich różnych to jest jak rano o świcie przychodzili i pamiętam do mojego domu też przynosili znakomite masło, sery, wędliny własnych wyrobów. Robili to w bardzo prymitywny sposób, lodówek nie było i katastrofy z tego powodu nie było. Tak, że nie tylko Żydzi inaczej handlowali, ale i wieś żyła z tego miasta w sposób jakiego dzisiaj nie ma. Ale to jest folklor bardzo fotogeniczny.

Jak to miasto wyglądało - obdrapane, zniszczone, brudne, zaśmiecone, ale wszyscy lubili to miejsce, jak później zaczął się rozbudowywać Lublin, żeby wymienić mieszkanie to nie chcieli, oni tak się już zżyli z tymi niewygodami, z tym prymitywem, że ja sam biegałem, nie chodziłem przecież tylko z aparatem, ja jeździłem bez aparatu, ja chciałem być w tym środowisku mnie cieszyło, nie fascynowała mnie fotografia, fascynowali mnie ci ludzie, którzy tam byli, od księży począwszy a skończywszy na chłopach, na rybakach, bo wtenczas można było świeżą rybę kupić, to były takie atrakcyjne rzeczy ciekawe, ja nie bardzo tam rozumiałem ten pejzaż, że to jest takie piękne, Kazimierz mi się bardzo podobał, a szczególnie mi imponowała to grupa malarzy.

4. Fotograficy lubelscy w okresie międzywojennym

Gdyby nie Ziółkowski, to ja bym wtenczas się za to fotografowanie nie zabrał, to nie była pasja, to był taki spacerek sobie, od czasu do czasu z kamerą, jako przykład tutaj dałbym mojego kolegę z Gimnazjum Staszica - Kielsznię.

5. Lubelskie Towarzystwo Fotograficzne

Towarzystwo Fotograficzne składało się z kilku naprawdę fotografujących a reszta to byli snobi - adwokaci, lekarze, ziemianie. Dzisiaj ile razy się spotyka takie reportaże - to ziemianie sami fotografowali, to była taka umowność, że oni mieli duże kamery na kasety szklane i zrobili dosyć dużo prac.

6. Stefan Kielsznia

Otóż mieliśmy Lubelskie Towarzystwo Fotograficzne, Kielsznia należał też do tego Towarzystwa i wysyłał w tamtym czasie na wystawy międzynarodowe, gdzie tam można było cztery prace wysłać do oceny, to był wielki sukces. Wracając do Kielszni - to on takie dziecko płaczące, jakiś portrecik, jakaś martwa natura. Dlaczego ja to

mówię - bo myśmy nie wiedzieli zupełnie, że on robi na przykład dokument Starówki, zdjęcia żydowskie. Dopiero ja po wojnie się dowiedziałem, że on był na etacie konserwatora lubelskiego, i ten kazał mu fotografować dom po domu, sklep po sklepie, Lubartowską, Stare Miasto i Podzamcze. On przeżył z trudem ale to się zachowało. Ja uważam, że jeśli chodzi o te stare zdjęcia to najbogatszy tematycznie był Kielisznia. Kiedyś już po wojnie na ekranie zobaczyłem Kielisznię, który idzie z aparatem i opowiada jak to on kiedyś fotografował i ja dopiero wtenczas dowiedziałem się, że on robił takie fotografie, on nigdy nie zdradzał tego, a poza tym to się nie uważało za sztukę. Fotografie się lekceważyło, które później, po tylu latach zostały, jakbym powiedział „ochrzczone”

7. Wiktor Ziółkowski

Ziółkowski był pierwszym krytykiem w mojej pracy fotograficznej,. Ja, szczególnie po powrocie z Wiednia, zmieniłem swój styl, nie zmieniłem tylko budy, ale uzupełniłem sobie sprzęt, tam zostałem. Ponieważ ja żyłem z fotografii już wtenczas, to miałem gablotę, w której co miesiąc wystawiałem dwa portrety 30 x 40. To tylko Dorys w Warszawie tak pokazywał i ja w tamtym czasie, bo to reszta to były pocztówkowe zdjęcia nasadzone całe mnóstwo. I jak tylko zmieniałem, to przychodził zaraz Ziółkowski. I tak żeśmy rozmawiali i w międzyczasie jak ktoś przyszedł, tak zwany klient, to on zmieniał temat i mówił: *„panie Edwardzie, te portrety, które pan wystawił w tym miesiącu, naprawdę są takie, śmaki i owakie”* - chwalił. Jak ten wyszedł facet - mówił: *„ja mam zastrzeżenia, ja myślę, że to można trochę inaczej potraktować”* więc on był właśnie pierwszym moim takim rzeczoznawcą, krytykiem. Później sam fotografował, miał Leicę, zbierał te różne świątki, namawiał mnie, żebym z nim gdzieś tam pojechał, to gdzieś tam jest ludowy twórca, kilka razy pojechaliśmy razem do Kazimierza, tam mnie poznał z tymi wszystkimi malarzami, był z nimi zaprzyjaźniony i on zdawał sobie sprawę, że temat żydowski jest fantastyczny do malowania i fotografowania. On sam Żydów nie fotografował. Fotografował Chrystusika, sztukę ludową, mnie nawet jest trudno powiedzieć - on był przecież dyrektorem muzeum jakiś czas, miał na przykład zbiory wycinanek ludowych, on to fotografował, robił dokumenty, to mu sprawiało przyjemność. Natomiast nie znam zupełnie fotografii jego jako twórcy. On widocznie też widział pewne możliwości, ale w tamtym czasie to malarz to był malarz. Ale to był naprawdę koneser fotografii, między innymi. On tu bywał u mnie, już jak się sprowadziłem do Warszawy, ja wykorzystywałem go wielokrotnie jako model, obfotografowywałem go dosyć często, on w Warszawie znał wszystkich - dyrektora muzeum, jednego, drugiego, wszystkich tutaj znanych twórców znał doskonale, później on pisał nawet do pism zagranicznych, pisał różne recenzje o polskiej sztuce, ale nie jako Ziółkowski, ale jako Kot. Nie wiem dlaczego to tak. Ziółkowski to jest taki akumulator w moim życiu, bo on mnie nie zniechęcał, tylko on mnie bardzo zachęcał i on twierdził już wtenczas, że fotografię należy poważnie traktować. Ziółkowski to jest legenda, ja nie potrafię opowiedzieć o nim. To był

nadzwyczajny człowiek, niedołączny może trochę, wspierający nie sam, z własnej kieszeni, ale poprzez rekomendację dla ludzi, którzy mieli pieniądze - adwokatów, lekarzy, polecał artystów, no i konkretne obrazy.

8. Studia w Wiedniu

Jak byłem w Wiedniu, to pierwsza rzecz, to było odbycie dwu tygodni w bibliotece. Tam były albumy, które do nas nie dochodziły - przeważnie amerykańskie. Ta wizyta polegała na tym, że wybierało się to, oglądało się i trzeba było trzy wybrać i uzasadnić dlaczego wyróżniłem ten a nie inny album. Więc start zaczynał się od wprowadzenia do nazwisk amerykańskich. No przeważnie były dokumenty, ale i portrety były znakomite.

9. Lubelskie środowisko artystyczne

To jest Filipiak, portret mojej żony, mój portret, ale proszę zrozumieć, że to nie jest mieszczańska słabość, bo wtenczas wszyscy malowali sobie portrety. Ja Filipiakowi robiłem dokumentację jego obrazów czarno-białe i oni w ramach wdzięczności robili te portrety. Ja miałem Filipiakę i Kononowicza, to miałem ze 40 obrazów, ja to kupowałem po bardzo małej cenie, ja to kupowałem. I tam w Lublinie na Glinianej mieliśmy taki domek, no to ściany były obwieszane tymi obrazami. Postanowiłem, że jeżeli przeżyję wojnę, zmienić Lublin na Warszawę. Był taki Kędra, taki pianista, który bardzo się męczył, nie miał gdzie mieszkać, tutaj na tym instrumencie czasami grał. Ponieważ myślałem o Warszawie, to kupiłem mieszkanie w Alei Niepodległości. Bardzo ładne mieszkanie. Ojciec miał meble biedermajera, duże takie, to mi podarował i ja umeblowałem to mieszkanie, a Kędra nie miał gdzie mieszkać, to ja jemu to mieszkanie dałem za darmo, żeby tam mieszkał. I te obrazy tam były - wywiozłem te obrazy, on tu przychodził, jego żona w Kazimierzu miała teatr lalek i w ostatni dzień wojny bomba padła w ten dom. Wszystkie te meble i te moje obrazy i było jeszcze kilka portretów mojej żony, bo oni ją sobie wymyślili na modelkę, bo była młoda i względnie przystojna, no i zginęły, cały mój dorobek, czy pamiątka po tamtych malarzach - nie zachowały się.

10. Lublin w okresie międzywojennym

Ja byłem znanym sportowcem. Jak byłem w gimnazjum Staszica, przyszli do mnie z księdzem na czele, bo był prezesem sekcji piłki nożnej i profesorem gimnastyki, nazywał się Kozioł, był wicemistrzem w pchnięciu kulą, to jest duża klasa, nam imponował - prawie mistrz polski i on mnie bardzo polubił, zresztą nie tylko mnie, był taki Łysakowski i innych kilku... I za zgodą szkoły wstąpiłem do AZS - u i w tym AZS - ie, byłem w tak zwanej klasie A, to jak dzisiaj pierwsza liga, bo były A, B i C, to ta najwyższa, Polska była podzielona tak jak teraz się dzieli politycznie, to myśmy należeli do Kresów: Łuck, Równe, Białystok, Zamość, to był ten okręg, gdzie rozgrywaliśmy te mecze. Ja dzięki tym sportowym wyczynom poznałem te kresy. To

były przeważnie kluby wojskowe, więc oni nas przyjmowali, to nam imponowało, w bilard tam nawet grałem raz, sukno podziurawiłem... Później zacząłem grać w tenis - ja mówię - dlaczego - jak ja na Lublin patrzę, takie zainteresowanie miałem, może mnie Lublin wtenczas nie bardzo obchodził, bo ja byłem piłkarzem, trzeba było pójść na trening, trzeba było się uczyć. Chodzi o to - na Lublin się miało kilka etapów różnych spojrzeń, bo jak się zajmowałem sportem, to wtenczas nie znałem Ziółkowskiego, nie miał mnie kto za uszy doprowadzić, jak tam czasem przeleciałem przez miasto, może do jakiegoś kolegi, który tam mieszkał, może na taki jakiś spacer, ale zacząłem Lublin, trzeba powiedzieć - od Ziółkowskiego, on mnie tak namawiał, do muzeum mnie zaprowadził, opowiadał o sztuce ludowej itd., Jak ja widziałem ten Lublin? Ja dzisiaj jak patrzę na ten album, który zrobiłem o Lublinie, i na okładce jest Brama Krakowska, to ja dzisiaj zdaję sobie sprawę, że tam się wchodziło do innego miasta, była Starzyzna, zaniedbane te domy, targowe ulice, no tak jak każde miasto czystością nie imponowało, to jest wszystko ta patyna, te podwóreczka, te drewniane schody, to naprawdę był taki okres, że ja chodziłem z bramy do bramy, a był taki okres, że ja się zaprzyjaźniłem z kominiarzami i chodziłem z nimi tam na górę, żeby zobaczyć z lotu ptaka. Więc były takie etapy i później już wsiąknęłam w ten Lublin, jeszcze tego nie wiedziałem, później pora roku rano, później mgła, ten pejzaż architektoniczny, duży był folklor wtenczas, chłopcy byli ubrani w sukmanach. Była taka firma amerykańska ULEM, która przeprowadzała kanalizację w Lublinie i Krakowskie Przedmieście było całe rozkopane i tam przeprowadzali właśnie kanalizację. Ta firma amerykańska była zachwycona folklorem lubelskim, nie żydowskim, tylko polskim, chłopcy jak przynoszą wszystko na serwetce, jagody, grzyby, mleko itd. Wtenczas mężczyźni chodzili jeszcze w sukmanach. Oni zamówili u mojego ojca żeby pofotografował targ, te stroje, ten zwyczaj, a najbardziej im zależało i imponowało, że na targ przyjeżdżali chłopcy spod Lublina a prowadzili te konne swoje prymitywne zaprzęgi - kobiety, oni mówili, w Ameryce tego nie ma, tam tylko mężczyźni, a tu kobieta prowadzi. I cały szereg pamiętam ojciec zrobił na zamówienie, koło Świętoduskiej ten targ. No i to, że ojciec chodził na ten targ, to ja też zacząłem robić tam te zdjęcia. Ojciec dla kawałka chleba a ja dla przyjemności.

Jak pamiętam Lublin? Trzeba zacząć od tego, że ja nigdzie więcej nie byłem, bo ja się urodziłem w Moskwie, ale byłem mały jak przyjechałem, to ja nie mam pojęcia o Moskwie. Pamiętam to ciężkie życie, nie tak jak się mówi ciężką młodość miałem, o tym się w ogóle nie mówiło, wszyscy cierpieli i wszyscy się jakoś organizowali. Nie było tego specjalnego zainteresowania. Przyjechało się do jakiegoś miasta, spało się, jadło, uczyło się, poznawaliśmy ludzi. Ja myślę, że był taki okres, że miasto mnie nie obchodziło. To nie można powiedzieć, że od razu człowiek przyjedzie i zachwyca się albo mówi niedobre, że wolałby tam w Kazimierzu czy Sandomierzu, ja nie miałem znaku równania żadnego. Miast mi się podobało, ale nie mówiłem do drugiego, że mieszkam w ładnym mieście, a to jakoś tak utkwiało... To był właściwie mały świat, Uniwersytet KUL-u się budował, Kościół Garnizonu jak się budował, a tam resztę były

poła, tam się nauczyłem na rowerze jeździć, tam żeśmy piłkę kopali na polach, z ubrania się robiło bramki, a później bijatyka była i to było takie życie ciekawe ale wtenczas ja miałem kolegów, którzy mieli rodziny ustatkowane, ja zobaczyłem jak żyją ludzie bogaci, bo myśmy mieszkali na facjatce, tam gdzie kiedyś był Semadeni, w tym domu, na rogu, ta ulica to się nazywała zdaje się Początkowska, dzisiaj to jest Staszycza, jak się tylko skręcało, dom ten narożny. Jak myśmy tylko przyjechali z Rosji, towarowymi wagonami, oficjalnie dostaliśmy zezwolenie na powrót. Moja rodzina - dziadek pochodzi ze Lwowa i wtenczas skierowanie dawali na miejsce pochodzenia przodków, więc nam dali zezwolenie do Lwowa. Lwów należał kiedyś do Austriaków, to myśmy mieli papiery austriackie. Przywieźli nas, wyrzucili w Brześciu, Brześć był wówczas granicą, jak myśmy się dostali na tamtą stronę i można było już kupić bułeczki, na dworcu, to luksus był niesamowity w porównaniu z tą rewolucją... I wtenczas myśmy w tym Brześciu gdzieś tam na podłodze przespali się i pierwszy pociąg jaki był, rozkładu żadnego nie było, tylko pociąg szedł - szedł do Chełma, bo to niedaleko, pojechaliśmy do tego Chełma, gdzieś tam ojciec pokoik jakiś noclegowy wynalazł i mówi, no to ja pojedę, zobaczę - gdzieś się przytulić i pojechał do Lublina. Dwa dni go nie było, wrócił i mówi słuchaj - jest takie miasto, niczego sobie i my tam tę rewolucję przetrwamy tam, a potem wrócimy do domu, do warsztatu, który bardzo ładnie miał urządzony w Moskwie i matka przyjechała, zaakceptowała. Ale w tamtym czasie dostać kawałek spania było niesamowite, bo ludzie ze wszystkich stron się mieszała i bardzo dużo wracało nie tylko Polaków z Rosji, ale też białogwardystów tzw. Nie wiem jak ojciec trafił do tego Semadiniego, w każdym razie na facjatce miał trzy pojedyncze kawalerki. Właściciel tej firmy - Semadeni, była taka kawiarnia słynna w Warszawie i Domańscy - jakaś rodzina Semadiniego mieszkała w tym domu i ojciec się jemu spodobał i dał nam te dwie facjatki osobno na drugim piętrze i przyjechaliśmy tutaj i matka mówi - tu możemy przeczekać. Później dołączyła do nas babcia Maria - fantastyczna babcia Kresowianka, nie było telewizji, nie było radia, ale takiego gawędziarza to dzisiaj nie ma, bo by robił furorę. Nawet nie taka czytana, ale miała dar boży konwersacji, myśmy tam mieli nie wiem po ile lat, ale maluchy, mieliśmy taki kawałek kąta, ja i mój brat, dwa łóżeczka i ona wieczorem nam zawsze opowiadała niesamowite wydarzenia, przez siebie wymyślone, takie sensacyjne, sama wymyśliła i wszystko to się odbywało w pejzażu z wierzbami, stąd później moje ciągi, ja zrobiłem album o wierzbach, na pamiątkę babci, ale mało tego, to teraz szykuję „Wierzby Baśniowe”właśnie odrealnione, ale czysta fotografia. To są takie momenty wychwytyj, ta babcia nas bardzo dużo nauczyła, bo ona знаła historię Polski, tak że nam na dobranoc - albo sensacja albo historia. Była urocza, sympatyczna, więc było tak, że ta babcia nie mieściła się w tych dwóch kawalerkach i wynalazła tam, że przy końcu korytarza było wejście i było jeszcze wolne. Babcia to odkryła i zgodził się też Domański i tam była kuchnia i mieszkanie babci. To było przez korytarz i pięć kroków. I tam mieszkał jeszcze obok cukiernik, który miał drewnianą nogę i to był nasz zegar, bo on codziennie chodził ciastka tam robić na dół

do Semadiniego i jak szedł to tymi kulami stukał i myśmy mówili - już czas wstawać, jest godzina piąta czy tam szósta. No i tam żeśmy przemieszkali sporo lat, a później w tym samym domu na pierwszym piętrze był lekarz, który miał bardzo ładne mieszkanie i on wyjechał do Warszawy i ojciec kupił to mieszkanie, z balkonem, bardzo wygodne. Poza tym nie było czasu właściwie chodzić po tym Lublinie, rodzice ciągle nas prosili to zrób, to zrób, a tu posprzątaj myśmy byli zaabsorbowani i dla nas takie hulanki dowolne, próżniackie właściwie nie istniały, tak że nie od razu tak się człowiek poznał na Lublinie. Trzeba było sporo czasu żeby w to wejść, łącznie z ludźmi, bo na przykład człowiek teraz przyjeżdża do Lublina, to niewiele się zmieniło, ale dziwne to miasto, nie ma znajomych ludzi, na cmentarzu wszyscy, więc oprócz tej architektury to jest potrzebny człowiek, atmosfera, potrzebne są jakieś wspomnienia, tak że to składa się z różnych czynników, ale dla mnie to najważniejsza rzecz - ja tam zrozumiałem co to jest artyzm, co to jest artysta, skąd to się bierze, jak to jest, podpatrywałem, chodziłem na spacer, chodziliśmy tam na Czwartek, wyprawy później na Sławinek. Wyprawa na Sławinek to jest tak jakby dzisiaj powiedzieć - do Częstochowy idź. To było na nasze tamto mniemanie bohaterstwo, pójść na piechotkę na Sławinek. Pan Semadeni to nas po prostu pokochał. On miał tam willę taką białą malowaną i ojca nie było stać na wakacje dla nas to on dał nam tam wakacje. Myśmy tam mieszkali w takiej półsuterynie, tak że mieliśmy tam bardzo dobre miejsce, zdrowe, to są takie punkty istnienia w tamtym czasie.

11. Miejsce magiczne

Trzeba powiedzieć, że Lublin to jest bardzo mały obszar, który można łatwo opanować. To jest właściwie takie podwóreczko, salonik i tutaj wytypować coś... po prostu ja sobie bardzo też upodobałem Bramę Grodzką, bo to było takie znowu drugie, takie coś innego, bo to przede wszystkim nie na jednej powierzchni, tylko na kilku piętrach i ten zamek i te żydowskie.. ten Lublin w tamtym miejscu to był jakby wstążką opasany tymi wąskimi uliczkami, tymi „pachnącymi” ludźmi jak gdyby nie z tego kraju, tam się Polacy nie szmendali, bo to było dla ludzi niektórych obrzydliwe i smrodliwe, ja lubiłem właśnie tamte miejsca, bo tam prawdziwi ludzie, oni nie chodzili nigdzie, oni spali, wszystko tam robili, a tam daleko to ich nie obchodziło. Jak mnie kiedyś Gąsiorowski z Lublina, malarz, który skończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, opowiadał, że w Paryżu, to niektórzy mieszkańcy to nie byli nigdy po drugiej stronie Sekwany, to nie do wiary, tak mi się wydaje, że część z nich nie chodziła nigdy do Bramy Krakowskiej, więc to były małe tereny ale one miały pewien nastrój inny, już na przykład tam się nie spotkało nigdy żadnego księdza, ani siostry, tam nie było kościołów, tam była Bożnica i całe ich królestwo to były trzy podwóreczka, to było bardzo ciekawe. Stare Miasto, więcej emocji było dla mnie tam na Podzamczu.

Za młodych lat, to co zdobyłem w Lublinie, nie specjalnie nauką, nie specjalnie jakimiś podróżami, ale po prostu pewna świadomość utkwiała w moim mózgu, mimo,

że się jeździło po świecie i piękne rzeczy się oglądało, to najdroższe dla mnie, nie mówię najpiękniejsze, ciekawe i łapiące za serce to jest Lublin tamtych czasów. Ja dzisiaj kocham Lublin. Są to rzeczy nieokreślone, ja nie jestem literat, ja przemawiam obrazem a nie słowem, mnie jest dosyć trudno sprecyzować, ale mnie się wydaje, że sam fakt że ja się czuję obywatelem tego miasta, że ja przeżyłem nie takie słodkie, ale wtenczas nie było goryczy, że było tam gorzej czy lepiej, człowiek potrafił być z byle czego szczęśliwy, w ogóle patrzył na drugiego człowieka jako na przyjaciela, więc były pewne atmosfery, które dodawały wdzięku do tego miasta, to tak jakby chciało się powiedzieć, że z murami można rozmawiać, że ze Starówką można bez odpowiedzi rozmawiać...

Data i miejsce nagrania	1999-01-18, Warszawa
Rozmawiał/a	Marta Kubiszyn
Redakcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"